



Nowo OTWARTY MAGAZYN OBUWIA ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516.

poleca najlepszej jakości i trwałości

obuwie dziecięce, damskie i męskie.

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

8

— Nie — to nie przypadek! Znam dobrze tych ptaszków. Wejście płatniczego przerwało rozmowę.

— Dam panom innego kelnera — rzekł — tamten oświadczył mi, że panowie nie są z niego zadowoleni.

— Tak — rzekł Simonet — jakoś się nam nie podobał.

— Zmienię go w tej chwili.

— Doskonale — rzekł La Rochardie — tak będzie lepiej.

Nowy kelner był również zastępcą. Ale ten był Francuzem, o tem niepodobna było wątpić. Usługiwał bez zarzutu, był zręczny i zdawał się odgadywać myśli swych gości.

Trzej przyjaciele, uspokojeni, zaczęli rozmawiać o sprawie fotografowania dokumentu. La Rochardie i Montgomery zajadali jednocześnie z apetytem, Simonet nie chciał nic wziąć do ust, jakkolwiek menu było ułożone znakomicie. Napróżno La Rochardie tłumaczył mu, że dobre śniadanie zmniejszy zgryzotę.

Zaledwie Simonet rozpoczął opowiadanie o nie-szczęściu, jakie go spotkało, gdy bez wołania i wbrew zakazom wszedł kelner, niosąc na tacy list. Podał go w milczeniu szefowi gabinetu i wyszedł.

List był zaadresowany ołówkiem:

„W Pan Simonet. Poufne. Bardzo pilne“.

Simonet bardzo zdziwiony i niespokojny, drżącą ręką rozerwał kopertę i przeczytał te słowa, również napisane ołówkiem:

„Mury mają uszy!“

„Zdziwiony, podał list przyjaciółom.“

— To znaczy — rzekł La Rochardie, że za głośno mówię.

— Albo też, że to nie jest miejsce odpowiednie do takich rozmów — dodał Montgomery. — Lepiej będzie, jeżeli Simonet nie będzie tu nic mówił.

La Rochardie wykrzyknął nagle:

— Ale list nie ma podpisu!

— To prawda.

— Trzeba to wyjaśnić! Kto go napisał? Kto przysłał? Dlaczego?...

Szybki w postanowieniach kapitan nacisnął guzik dzwonka.

Zjawił się kelner i zanim zdążono zadać mu pytanie, pochylił się nad stołem i rzekł szeptem:

— Od Paulina Broquet!

Trzej przyjaciele drgnęli, zaskiwieni.

La Rochardie chciał mówić, ale Montgomery chwycił go za ramię:

— Pozwól — ty za głośno krzyczysz.

I sam zapytał:

— Więc Paulin Broquet wie, że my tu jesteśmy?

— Bez wątpienia.

— Jest tutaj? W restauracji?

— Być może...

— Proszę go poprosić... Będziemy szczęśliwi, gdy go poznamy... Poradzi nam, co mamy czynić...

— Jeżeli Paulin Broquet — rzekł kelner — nie jest tu razem z panami, to znaczy, że nie chce tu być... że ma po temu ważne przyczyny i że uważa, iż list wystarcza...

— Dobrze, dobrze! — odparli wszyscy trzej — zrozumieliśmy.

Kelner wyszedł.

— Dziwne jest to śniadanie — zauważył La Rochardie. — Potrzebujemy dziś spokoju, ciszy, a tu trafiamy na same tajemnice.

— Tak, to też uważam — rzekł Anglik, — że powinniśmy skończyć śniadanie i opuścić to miejsce.

— Zgadza się z tem najzupełniej — odparł La Rochardie.

— Ja także.

— Więc najlepiej będzie, jeżeli pójdziemy do ministerium, do twego gabinetu i tam, paląc cygara, wysłuchamy bez przeszkód twego opowiadania o tej całej sprawie. Oczywiście, przekonamy się najpierw, czy nikt nie podsłuchuje pode drzwiami.

Trzej przyjaciele dokończyli szybko śniadania, uregulowali rachunek i wyszli.

W korytarzu spotkali się z towarzystwem, które wyszło z sąsiedniego gabinetu.

Była to, hrabina Pepa d'Ortega, markiz Izigo Martolo i baron de La Roucoulière. Ten ostatni, jak powszechnie mówiono, kochał się w pięknej hrabini, asystował jej zawzięcie i odgrażał się, że zabije każdego, kto do przedmiotu jego westchnień się zbliży.

Hrabina d'Ortega, ujrawszy Simoneta, zatrzymała się.

— Ach! — zawołała wesoło. — To pan, panie Simonet! Co za miłe spotkanie!

Wyciągnęła rękę do szefa gabinetu, który skłonił się głęboko i złożył na malej rączce pocałunek. Baron de La Roucoulière zadrżał.

Markiz don Martolo również przywitał się z Simonetem, a hrabina zaznajomiła go z baronem — wobec czego Simonet przedstawił swoich przyjaciół:

— Kapitan Montgomery z Londynu... Kapitan de La Rochardie...

Hrabina z wdziękiem, sobie właściwym, podała obu wojskowym rękę.

La Rochardie skłonił się głęboko, obrzucając jednocześnie okiem znawcy wytworną postać młodej kobiety. Anglik uściśnął jej rękę grzecznie i chłodno, nie okazując najmniejszego wzruszenia.

— Bardzo jestem zadowolona, że pana widzę — zwróciła się hrabina do Simoneta — i muszę panu zaraz powiedzieć, że ma pan bardzo krótką pamięć.

— Jakto, proszę pani?

— Tak, wspominałam już kiedyś panu, że we wtorki i soboty, od piątej do siódmej, przyjmuję swych przyjaciół.

— Ach, tak! rzeczywiście — wstyd mi do prawdy...

— Dotąd pan nie zechciał skorzystać z tego...

— Pani mi daruje... ale...

— Tak, wiem, że pan jest bardzo zajęty sprawami państwa... Ale tłumaczenie nie wystarcza mi. Jedno z dwojga, albo pan zapomniał o zaproszeniu, albo też nie uważa się pan za mego przyjaciela.

— O! pani...

— A więc niech się pan poprawi i przyjdzie...

— Dziękuję, będzie to dla mnie spełnieniem nader miłego obowiązku...

— Ale nie otrzyma pan przebaczenia, o ile nie przyprowadzi pan swych towarzyszy.

— O, proszę pani — zawołał La Rochardie — z radością!

Montgomery zadowolony się milczącym ukłonem. Uśmiechnawszy się jeszcze raz, piękna hrabina wyszła na schody wraz z markizem. Baron de La Roucoulière siedział z nimi, trzęsąc się ze wściekłości i mrucząc pod wąsem:

— Tych trzech ludzi będę musiał zabić!

ROZDZIAŁ XXV.

La Rochardie działa.

W kilka chwil później trzej przyjaciele wyszli z restauracji.

— Pójdziemy na to przyjęcie? he? — zapytał z zapalem La Rochardie.

— O ile to będzie niezbędne — żeby towarzyszyć Simonetowi — odparł spokojnie Anglik.

— Piękna kobieta! — zawołał La Rochardie. — Bajeczna kobieta, do stu tysięcy bomb! Co za oczy! Co za usta! Jaki uśmiech! Milion milionów bomb... szkoda... nie lubię brunetek... nie lubię... Ubóstwiam blondynki! Ach! blondynki!

Montgomery, uśmiechnął się nieznacznie, słysząc ten okrzyk. Znał on pewną blondynkę, jedyną istotę, która miała władzę nad porywczym kapitanem francuskiej kawalerii. Była to jego siostra — Maud Montgomery.

Wszyscy trzej szli teraz w milczeniu, zagłębieni w swych myślach, w stronę ulicy Royale. Doszli tak do gmachu ministerium spraw zagranicznych. W gabinecie Simoneta, La Rochardie, jakby żartując, opukał ściany, chcąc sprawdzić, czy nie zawierają jakich kryjówek. Obejrzał dokładnie sufit i od czasu do czasu otwierał raptownie drzwi, żeby przekonać się, czy kto za nimi nie podsłuchuje.

Simonet tymczasem opowiadał swoim przyjaciołom o sprawie dokumentu.

Naturalnie La Rochardie chodził przez ten czas wielkimi krokami po pokoju, stukając obcasami, brzęcząc ostrogami i groząc pięściami nieznanemu wrogowi.

Montgomery siedział spokojnie w fotelu, słuchając opowiadania, nie spuszczając przytem wzroku z kapitana dragonów.

Simonet kończył swe opowiadanie, gdy nagle za drzwiami, prowadzącymi do gabinetu ministra, dał się słyszeć lekki szelest.

— Znowu ktoś podsłuchuje! — wrzasnął La Rochardie i jednym skokiem dopadł drzwi. Otworzył je gwałtownie i pochwyił za kark stojącego za nim mężczyznę.

— Co pan tu... — zaczął.

Ale zatrzymał się zdumiony... a Simonet i Montgomery zawołali jednocześnie.

— Pan minister!

M. Deboys Billy zrozumiał odrazu, o co chodzi, roześmiał się i rzekł:

— O! teraz mój gabinet jest dobrze strzeżony!

Uściśnął dłoń kapitała, którego znał i nie pozwolił mu przeproszać się za popełnioną omyłkę. Poczem przywitał się z Anglikiem.

— Jestem szczęśliwy, że panów widzę, przyszście pocieszyć swego przyjaciela. To bardzo pięknie z waszej strony, panowie. No i cóż, mój drogi Simonet, czy lepiej się pan czuje teraz po śniadaniu?

— Ba! — wtrącił La Rochardie — ze zmartwienia prawie nic nie jadł.

— To bardzo naturalne. Mam nadzieję jednak, że po tem, co mu powiem, przyjdzie do siebie i wieczorem będzie miał doskonały apetyt.

Minister położył rękę na ramieniu swego podwładnego i mówił dalej:

— Mówiliśmy długo o tym wypadku z prezydentem ministrów i sekretarzem stanu... Obaj polecieli mi wyrazić panu najzupełniejsze zaufanie i szczerze współczucie.

— Jestem wzruszony, panie ministrze — odparł Simonet — dziękuję panu.

— Prezydent ministrów sądzi, iż nie należy rozpaczować... Być może, iż klisza, znaleziona przez tego nieźrównanego Paulin Broqueta, jest jedyną... W takim razie bandyci nic nie mają... Za poradą ministra sprawiedliwości dałem depezę cyfrowaną do naszych agentów zagranicą, by wysledzili, czy otrzymano tam jakiś nowy dokument...

— Niełatwo się będzie dowiedzieć o tem.

— Ale należy użyć wszelkich środków, ja osobiście jestem zdania, że powinno nam się udać... Prócz tego omawialiśmy sprawę wysłania wiado-